

Stan bluesa

Nowy Jork, USA. Lipiec roku 1933. Klub *La Vanité* na Brooklynie. Sobotnia noc.

Brzęk szklanek, miękkie brzmienia saksofonu, gwar rozmów przy akompaniamencie damskich śmiechów były jednostajną falą, której częstotliwość odbierałem tylko ja – metafora dla euforii niepowstrzymanej i niestłumionej, której źródło leżało w blasku przyszłości. Tamtej nocy moja młodość była nieśmiertelna, a choć kieszeń świeciła pustkami, posiadałem bogactwa stukrotnie większe niż wszyscy giełdowcy z Wall Street razem wzięci. Portfele napelniali monotonią codzienności i brakiem życia, by za parę lat stanąć twarzą w twarz z samotnością i pustką, którą powinny wypełniać wspomnienia pulsującego życia, którego winien jest doświadczyć każdy. Jest to nie tyle prawo ludzi, co ich obowiązek nakładany przez wyższą siłę stwórczą. Ja natomiast smakuję sekundę po sekundzie. Dwa poranki spędzone w tym samym miejscu są już oznaką poważnej stagnacji. Mogłem być takim samym urzędnikiem pod białym kołnierzem, jak reszta tłumu zalewająca ulice Nowego Jorku każdego ranka. Ale nie widziałem w tym celu. Skoro człowiekowi dana jest nieokreślona pula czasu, czyż nie wydaje się szaleństwem spożytkowanie jej na czynności niczym się od siebie nie różniące, wykonywane w jednakowych warunkach i otoczeniu...

Co za głos!

Ale to nie może być ona, n'est-ce pas?...

Pamiętała.

Właśnie śpiewałem ostatnie słowa *Rip It Up*, należącego do najlepszego repertuaru, gdy mój wzrok przykuł marynarz siedzący przy barze. Nie byłoby w nim nic szczególnego, gdyby nie kontrast, jaki tworzył na tle rozochoczonego i roztańczonego tłumu. Siedział sztywno wyprostowany, wpatrując się w jeden martwy punkt. To pewnie jego pierwszy dzień na lądzie. Z tego co się orientowałem, służby chłopców trwały teraz nawet po rok. Może to i dobrze, ominął go najcięższy czas dla nowojorczyka. O ile w ogóle był stąd...

Poprosiłem o przerwę – każdy kręcił głową i mówił, że *Louis A. jest niezastąpiony i zaraz wszyscy rozejdą się do domu*, ale nie chciałem ustąpić. Inni artyści zasługiwali na szansę na scenie, a ja na rozmowę z tym młodym człowiekiem. Było w nim coś nietypowego i nie dawało mi to spokoju.

Usiadłem na drugim końcu lady i zamówiłem miodową whisky. Kątem oka zerkąłem na „mojego” marynarza. Wciąż wpatrywał się w jeden punkt. Wtem jego usta rozciągnęły się w szeroki uśmiech i zaśmiał się beztrąsko, podrywając się z miejsca. W tym samym momencie dał się słyszeć płaczliwy okrzyk kobiety. Było to jedno słowo – imię – lecz zawierało w sobie różnorodność emocji, z którą bałbym się zmierzyć w samotną noc. *Raphaël*. Padli w sobie ramiona. Ze szwargotu dziewczyny nie rozumiałem nic, on natomiast słuchał jej z zachwytem w oczach.

Była piękna. Filigranowa dziewczyna o alabastrowej cerze, zielonych oczach i różowych ustach. Rude włosy sięgały jej ramion i odwijały się na końcach. Na sobie miała białą etolę i srebrną cekinową sukienkę. Pochodziła z dobrego domu, to było pewne. Tylko co robiła w tej dzielnicy Nowego Jorku?

Szanse na dojście prawdy były małe, dlatego zaniechałem swego planu i wróciłem na scenę.

Kolejne godziny mijały, a ja byłem świadkiem tej dwójki młodych zakochujących się w sobie od nowa, i od nowa... Szybki twist, jazzowy debiut, eteryczny blues...

Ona wyszła wcześniej, szczęśliwa niczym małe dziecko. Jego natomiast spotkałem, gdy zamykałem *La Vanité* o czwartej nad ranem. Szedł ze zwieszoną głową. Postanowiłem zagadnąć.

-Młody człowieku...

Cokolwiek dzieje się w twoim życiu, nie pozwól, by to smutek przejął stery.

Jesteś w Nowym Jorku, tu szczęście i nadzieja leżą na bruku.

-Ja wiem, proszę pana. Tylko ja nie odwiedzę już Nowego Jorku.

Płynę na śmierć, na Przylądek Igielny. A ona nie wie. I ja już jej nigdy nie zobaczę... Bo wie pan, nic tak nie boli jak marzenia na jawie, które trzeba opuścić.
